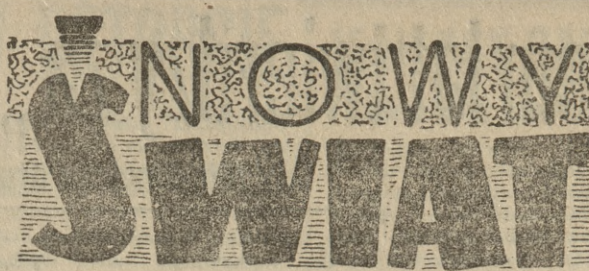




29 listopada w salach wystawowych Pałacu Kultury i Nauki, otwarto wystawę współczesnej grafiki jugosłowiańskiej. Na wystawie znajduje się około 100 prac reprezentujących zasadnicze kierunki grafiki jugosłowiańskiej.

Na zdjęciu: „Konie i jeźdźcy” — Maksym Sedej. CAF



TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 18 XII 1955
Rok VI Numer 48

BORYS POLEWOJ FARMER Z ARIZONY REPORTAŻ

W mieście Phoenix, stolicy stanu Arizona, zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie do miejscowego ekskluzywnego klubu najbardziej znanych w Arizonie farmerów. Znaleźliśmy się tu wśród ogorzałych ludzi w kowbojskich kurtkach, wąskich spodniach i fantazyjnych butach na wysokich obcasach. Na wieszaku widniał szereg kapeluszy o bardzo szerokich rondach. Jednak uwagę naszą przykuły przede wszystkim nie te pełne koloru detale, lecz wiszące w ramie ogłoszenie.

„Panie i Panowie! Naprzód! Chodźmy wszyscy z Johnem Jacobsem za żelazną kurtynę! Mister Jacobs opowie nam w piątek o tym, co widział w

radzieckiej Rosji. Żelaznej kurtyny nie ma, twierdzi Jacobs.”

Jacobs z Arizony! Przypomniałem sobie nagle film o pobycie amerykańskiej delegacji rolniczej w Związku Radzieckim i wpadający od razu w oczy niewysoki, dość słusznej tuszy człowiek o wyrazistym, jastrzębim profilu. Przejawiał on znacznie większą aktywność niż reszta delegacji, wypytując wszystkich i o wszystko, wnikał w każdy szczegół i z ręką nie wypuszczał notesu.

— No, tak, to był na pewno John. To człowiek nadzwyczaj skrupulatny — przytaknął znany w Arizonie farmer i działacz społeczny, Roy Mitchell. — Jeśli już on się do czegoś weźmie, to zawsze dokończy do samego sedna. Jego wyjazd do was narobił szumu na całą Arizonę...

John Jacobs, żegnając się przed odjazdem do Związku Radzieckiego ze swą rodziną, z żoną Martą, z sześciorgiem dzieci i dwanaściorcem wnucząt, obiecał im pisać w czasie podróży listy. A ponieważ Jacobs — to człowiek dokładny, rzeczowy — wkrótce listonosz przyniósł do niewielkiego, wygodnego białego domku, stojącego w cieniu południowych drzew, pierwszy list z nieznanym znaczkiem pocztowym. Pierwszy list z „żelaznej kurtyny”, o której tak huczały gazety! Wieść ta szybko rozeszła się wśród sąsiadów. Pod biały domek zaczęło naraz kilka samochodów. Znajdowali się w nich reporterzy kilku ukazujących się w Arizonie gazet oraz przedstawiciel miejscowej rozgłośni radiowej. Zarzucili żonę Jacobsa pytaniami, co też ma pisać.

A Jacobs pisał o tym, że w Związku Radzieckim przywitano amerykańskich farmerów bardzo serdecznie. Wszyscy są dla nich uprzejmi i życzliwi. Farmerzy mogą swobodnie chodzić, gdzie im się tylko podoba. Moskwa — to duże, ładne miasto. Wystawa rolnicza jest niezmiernie ciekawa, szczególnie interesujące są maszyny. Wiele spośród nich ma oryginalne konstrukcje. Z właściwym Amerykanom dobrodusznym humorem Jacobs wyśmiewał różnorodne, krążące w USA o Kraju

Rad legendy i podśmiewał się z własnych obaw.

John Jacobs latał i jeździł po Związku Radzieckim, odwiedzał kołchozy, sowchozy, instytuty naukowo-badawcze, stacje maszynowo-traktowe, rozmawiał z setkami ludzi. I zewsząd pani Jacobs otrzymywała listy z niezwykle różnorodnymi znaczkami na kopertach. Listy natychmiast stawały się znane farmerom Arizony. Z tych zwykłych farmerskich listów, nie adresowanych wcale do publicznej wiadomości, lecz osobistych, bo pisanych do własnej żony, farmerzy nie bez zdziwienia dowiadawali się, że Związek Radziecki, to duże i bogate państwo, że są tam świetne teatry, że ludzie są dostatnio ubrani, że są uprzejmi, życzliwi, że do nich, do Amerykanów, wszyscy odnoszą się z serdeczną gościnnością, że Jacobs od nikogo ani razu nie usłyszał o chęci wojowania, lecz, przeciwnie — wszyscy mówili o pokoju i przyjaźni.

Farmer z Arizony nie ze wszystkim się zgadzał, co widział. Jedno mu się podobało, drugie — nie, jednym spraw w pełni nie rozumiał, o inne — gotów był się spierać. Jednak jego listy były przesłankami szacunkiem dla radzieckiego narodu, dla naszego rolnictwa, od krytycznych badań naukowych, dla potężnego przemysłu, produkującego różnorodne maszyny, ułatwiające rolnikom pracę.

Jacobs, człowiek o trzeźwym, praktycznym umyśle, uzbroidł się przeciw przysłowiowej „żelaznej kurtynie”, o której legenda żywa jest jeszcze w Ameryce. A tymczasem w urzędzie celnym, przy wjeździe do Związku Radzieckiego, bagażu nawet nie otwarto. Listy wysyłane z Kraju Rad dochodzą bardzo regularnie. Ludzie radzieccy odnoszą się do Amerykanów życzliwie i przyjaźnie. Można zatrzymać na ulicy przechodnia lub przyjąć się w pociąg czy w samolocie do któregoś z kolegów z współtowarzyszy podróży, poruszyć w rozmowie każdy temat, pogadać, posprzeczować się. W moskiewskich hotelach jest pełno zagranicznych gości. Na skalach odbiorników radiowych widnieją wszystkie stolice świata. Gdzież więc tu jest owa „żelazna kurtyna”? Farmer był wzruszony otwar-

tością, serdecznością ludzi radzieckich, ich radością życia, ich wiarą w przyszłość.

O tym wszystkim John Jacobs z Arizony pisał w swych listach, o tym opowiadał w swym odczycie dla miejscowych farmerów — przybyło wówczas przeszło 1500 osób.

... Niebieski samochód wiozą nas po tymczasowej drodze wzdłuż budującej się autostrady, która przebiegnie przez Stany Zjednoczone i Kanadę do Alaski. Przy kierownicy siedział człowiek o jastrzębim profilu. Na głowie miał szeroki, kowbojski kapelusz. Był to Jacobs. Wskazując ręką na martwy, pustynny krajobraz, którego urozmaicheniem były tylko olbrzymie kaktusy, powiedział:

— Taką właśnie była tu ziemia, gdy ją kupowałem.

Dalej, za szybami samochodu zaczęły przepływać uprawne pola: na jednych dojrzewała, bieląc się otwartymi torebkami, bawełna, inne były dokładnie zaorane, inne, nawodnione, zieleniały kilkoma jęczmieniem, dalej — najemni robotnicy Jacobsa, Murzyni i Meksykańczycy, ubrani w granatowe kombinizony, zbierali salate i na miejscu pakowali ją do kartonowych pudełek oznaczonych znakami firmowymi.

— A teraz taką stała się ta ziemia — rzekł z satysfakcją. — Rocznie daje dwa urodzaje!

Zajechaliśmy do rancho, gdzie po obu stronach niezbyt szerokiej drogi, pod otwartym niebem, w ogrodzonych drutem kwaterek przebywało dwa tysiące cieląt. Wzdłuż drogi, z obu stron ciągnęły się drewniane żłoby. Dwa razy dziennie przejeżdżał tędy samochód ciężarowy i jeden robotnik zrzucał do nich kiszonkę z otrębami.

— Dwa tysiące cieląt obsługiwanych jest tu u mnie przez ośmiu ludzi. Powiedzieć o tym przewodniczącym waszych kołchozów, moim nowym przyjaciół — rzekł nasz gospodarz.

Potem samochód uniósł nas z powrotem ku białemu domkowi. John Jacobs, powracając myślami do ostatnich słów, zaczął z pamięci przytaczać trudne dlań do wymówienia rosyjskie i ukraińskie nazwiska. Chwalił radziecką naukę rolniczą, maszyny, szczególnie traktory, chwalił MTS-y, mówił, że niedość wydajnie wykorzystuje się w Związku Radzieckim siłę roboczą, z uznaniem wypowiadał się na temat metody Malcewa, radził, by wspólnie z zaorawaniem nowizin organizować również i kultywowane pastwiska...

— Wielecie — mówił — byłoby rzeczą znacznie lepszą, by częściej wymieniać delegacje, a nie zarzuty i podejrzenia. Znać siebie nawzajem — to znaczy rozumieć. A rozumiejąc się wzajemnie, znajdziemy wspólny język, by porozumieć się o dogodnej dla każdego współpracy. A współpraca i pokój kroczą, jak wiadomo, zawsze razem.

Pierwsza po wojnie inscenizacja „Dziadów” ARCYDRAMAT NARODOWY

Wielkie misterium Mickiewicza głęboko poruszyło Warszawę. Inszenizacja Bardiniego zapisze się na pewno chlubnie w historii naszej sceny. Pomijając drobne przedstawienia rozmaitych urzyków „Dziadów” w ciągu 80 lat, jako trwałe dorobek teatru w zasadzie liczą się tylko pomnikowe prace Wyspiańskiego i Leona Schillera. Oczywiście w tej chwili w środowisku krytyków porównaniom nie ma końca — przede wszystkim z inscenizacją Schillera.

Zmuszeni do ograniczania się brakiem miejsca, interesujący ten problem zostawiamy na boku; wystarczy tylko zauważyć — co stanowi rys charakterystyczny całej sprawy — że dzieło Bardiniego, wobec monumentalizmu Schillerowskiego, ma wymiary raczej kameralne. Bynajmniej zresztą nie mieści się w tym ocena ujemna.

— Co skrócić, jakich dokonać skróceń? — Przed tym kapitalnym pytaniem staje wobec „Dziadów” każdy reżyser.

Naszym zdaniem Aleksander Bardini, po obraniu własnej koncepcji i szczegółowej analizie tekstu, uczynił mądry i słuszny wybór. Wszystko niemal, co ważne w poemacie, cały jego trzon ideowy i artystyczny pozostał w egzemplarzu reżyserskim. Wypadły luźne epizody, np. Dworek pod Lwowem, niektóre sytuacje części III, jakkolwiek poetycko bardzo piękne, jednak pozabawiające akcję — bo w „Dziadach” istnieje niewątpliwie określone następstwo wydarzeń — jej dramatycznej spójności. A w końcu i mało wzbogaciłyby one wymowę światopoglądową poematu.

Dorzućmy zresztą, na marginesie, że przedstawienie i tak trwa bite cztery i pół godziny, a przez to już bardzo zbliża się do pułapu „nośności” psychicznej widza.

Każdemu z nas dobrze wiadomo, że większość scen „Dziadów” stanowi, w znaczeniu literackim, prawie że samodzielne utwory. Sztuczne, formalne wiązadła mijają się w teatrze z celem. A przecież interpretacja Bardiniego pozwoliła na stworzenie pewnej całości, być może właśnie dzięki umiejętnym skróceniom: wielkie romantyczne uczucie dwójga młodych spleta się wyraźnie w swoim nurcie wewnętrznym z politycznym dramatem pokoleń.

Odsłony obrzędowo-guślarzski, czyli „Dziady kowień-

List z Warszawy

skie”, zostały odegrane na strunie bardzo ściśnionej i w bardzo mrocznym odcieniu, bez jaskrawych efektów dźwiękowych i świetlnych. Myślę, że właśnie tym silnie uwydatnił się pierwiastek folklorystyczny i lepiej, bardziej zrozumiale i znacząco, dźwięczała strofa wiersza.

Zjawy i widma, dosyć u Bardiniego przetrzebione, odegrały być może zbyt małą rolę w stosunku do znaczenia, jakie przypisywał im Mickiewicz. Mowa jedynie o kształcie scenicznym. Nie ma tam „ducha z lewej” ani „z prawej strony”, a diabeł i anioł zamiast zmaterializować się w ludzkich postaciach, jak u Wyspiańskiego, przemawiają ustami Gustawa-Konrada. I trzeba przyznać, że Bardini, podporządkowując tekst — bez jakichkolwiek naruszeń intencji Poety — swej wizji scenicznej, wydobyl z centralnej sceny w celi głęboki ton ludzkiej tragedii. Dwie przeciwstawne sobie siły walczą w samym człowieku; zewnętrzne ich ucieleśnienie nadałoby najważniejszemu obrazowi sztuki cechy jasełkowe.

Natomiast w części II, zaduszkowej, „problem zaświatowy” polegał już przede wszystkim na rozwiązaniach plastycznych (operowanie świetlnymi konturami), bo zarówno Zława, jak Sowa, Kruk i Dziewczyna wygłaszają swe kwestie w pełnym brzmieniu.

Doskonale wypadła świetlna projekcja Snu Nowosilcowa, oddająca sugestywnie wrażenie koszmarnych majaków; w ogóle warto by napisać osobną pracę o oszczędnej w środkach, skupionej i jakże przy tym nasyconej treścią scenografii Jana Kosińskiego. Jednym z jej zasadniczych elementów było niebo, a ściślej mówiąc — pułap chmur, ciągle zmienny, groźny, niosący niepokój.

Od całości kompozycji scenicznej, tak w znaczeniu reżyserskim jak i dekoracyjnym, odbiegają chyba tylko — „tylko” należałoby ująć w cudzysłowie, bo są to dwie ważne, długie odsłony — „Salon warszawski” i „Bal u Senatora”. Obaj twórcy potraktowali te

sceny nazbyt dosłownie, w wymiarach naszej rzeczywistości. Zniknął skrót artystyczny, metafora. Tam, gdzie toczy się walka duchów, dwóch idei — zobaczyliśmy jedynie dwie grupy ludzkie.

A mimo to przecież sceny te zapadają głęboko w pamięć, dzięki wstrząsającej grze Zofii Małynicz i drapieżnej, makiawelskiej, a jednocześnie pełnej salonowej rewerencji sylwetce Nowosilcowa w ujęciu Władysława Hańczy.

Wspominając, marginesowo zresztą, o aktorach, nie sposób pominąć wielkiej kreacji młodziutkiego Ignacego Gogolewskiego w głównej roli Gustawa-Konrada. Narodził się niewątpliwie niepowszedni talent, jego skala wyrazu dramatycznego i pełnia przeżycia budzą chwilami prawdziwy zachwyt. Wielka Improvizacja i Widzenie ks. Piotra, owe szczyty ludzkiego natchnienia, znalazły w osobach Gogolewskiego i Mariana Wyrzykowskiego prawdziwie godnych wykonawców.

Delikatna, śliczna muzyka Tadeusza Bairda trafnie podkreśla recytowany wiersz, a równocześnie tworzy pomost nastrojowy pomiędzy poszczególnymi odsłonami.

Warszawska inscenizacja „Dziadów” wykracza z pewnością poza ramy teatru, wysoko jej ranga pozwala określić ją jako poważne osiągnięcie całej naszej kultury.

STEFAN RYMARZ



Z inscenizacji „Dziadów” — Adama Mickiewicza w Teatrze Polskim w Warszawie. Na zdjęciu: fragment aktu II — w celi więziennej Gustawa.

CAF — Fot. Dąbrowiecki-Kubiak



Wojciech Żukrowski po powrocie ze swej ostatniej podróży do Chin przygotowuje nową książkę. Będzie to „Wielki marsz” — książka o największej w dziejach ludzkości operacji wojkowej dokonanej przez Chińską Armię Ludową. W. Żukrowski przygotowuje również tomik legend i baśni chińskich.

CAF — Fot. Tyński

Osiem lat twierdzy za „Księgę Pielgrzymstwa”

Gdy Mickiewicza drukowano w konspiracji

W pięknej, dziś rzadkiej „Gawędzie bibliofilskiej o wydaniach Mickiewicza — ogłoszonych za życia poety” Al. Semkowicza — czytamy ciekawą historię opartą na badaniach przeprowadzonych przez autora nad aktami procesu „Ossolineum” z roku 1834, jaki wytoczył rząd austriacki ówczesnemu dyrektorowi Ossolineum, Konstantemu Słotwińskiemu i towarzyszącemu, obwinionym „o nielegalne nakładanie i rozszerzanie dzieł treści rewolucyjnej”. Obejmują one 6 grubych fascykułów. Proces trwał bowiem trzy lata i zakończył się skazaniem K. Słotwińskiego na 8 lat twierdzy w Kufsteinie na Morawach.

Na kościelnym strychu

Czasy były wówczas niespokojne. Po nieudanej wyprawie Zaliwskiego Galicja roiła się od emigrantów, tworzyły się komitety opieki, do których należała cała młodzież. Gorączka porwała i dyr. K. Słotwińskiego, dawnego żołnierza arpońskiego i porucznika ar-

tylerii Ks. Warszawskiego — do ryzykownego kroku wydania tajnych broszur rewolucyjnych w drukarni „Ossolineum” (Zakład Narodowy im. Ossolińskich), akta procesu wyliczają spis ich w liczbie dwudziestu kilku — a w tym Mickiewicza: „Reduta Ordona”, „Do matki Polki” i „Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego”. Druki noszą datę 1833 i umyślnie podane fałszywe miejsce wydania — Lipsk lub Awenjon. Nakłady wynosiły po 500 egzemplarzy. Odbijano je chylkiem i nocą. Gotowe arkusze suszono w pokojach kuratora, ks. Lubomirskiego, po czym kierownik drukarni wynosił je owinięte w prześcieradło na strych kościoła, nad biblioteką. Tam ukrywano je do czasu kolportażu po kraju.

Zecerzy i odbijacze byli wciągnięci w konspirację. Nieustannie cała młodzież zwracała uwagę na wielką ilość także innych tajnych druków rewolucyjnych znajdujących się

w obiegu. Dokonała szeregu rewizji w domach prywatnych, księgarniach — aż wreszcie przyszła kolej na Zakład im. Ossolińskich. Obstawiono ogień przedruków wojskiem i policją. Przeszukano budynki.

Dyrektor Słotwiński, spodziewając się rewizji, spalił cały zapas tajnych druków na strychu w bibliotece. Mimo to przy rewizjach osobistych znaleziono wiele dowodów obciążających tak Słotwińskiego jak i obu kierowników drukarni — Komarnickiego i Żabkowskiego. Uwieszono ich wraz z pracującymi zecerami.

Zbrodnia główna

Proces rozpoczął się w połowie kwietnia 1834 roku. Sąd poruszył wszystkie sprężyny, żeby dowieść oskarżonym „zdrady stanu” przez szerzenie hasła rewolucyjnego za pomocą inkryminowanych druków. „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” — były oczywiście jednym z najbardziej niebezpiecznych dzieł rewolucyjnych. Zdaniem austriackiego sądu broszura ta „więcej jak drugie zawierała w sobie zasady demokratyczne i przeciw wszystkim rządów monarchicznych (!) kierowana — dlatego nakład i rozszerzanie tej broszury tem większą winą inkryminowanych obciąża, iż z badań sądowych okazało się, że wszystkie przez nich nakładane broszury po całym kraju kursowały i (u) ludzi różnego stanu i wieku znajdowane zostały”. I dalej akt oskarżenia stwierdza, że „celem tej broszury jest niepodległość i wolność całej Polski dawnej, a tem samem i zmiana rządu w Galicji, a zatem jako udowodnione należy przyjąć, że obwinieni przy rozszerzaniu tej broszury, zamiar autora dzielili. Rzeczoną broszurę jest w biblijnym (!) stylu pisaną i takim sposobem dla średniej i niższej klasy ludzi w największym stopniu niebezpieczną, u których takie nauki najprędzej przystępują, gdy pod pozorem religii im się przedstawia”.

Tak przedstawia się ocena „Księgi narodu” i innych utworów Mickiewicza w oświeceniu „sądu kryminalnego austriackiego”.

Przed trybunałem przesuwają się różne postacie: świadkowie, denuncjanci i oskarżeni. Za zecerem Tomaszewskim, który przeniósł się do Warszawy — rozpisano listy poufne do władz rosyjskich z prośbą o przytrzymanie go i przesłuchanie. Tomaszewski zeznał istotnie przed komisją śledczą obciążającą dla oskarżonych i podał wszystkie druki, które za jego pobytu we Lwowie składano i odbijano. Na podstawie tych zeznań — przyznał się dyrektor drukarni, Komarnicki, do „przestępstwa”.

Szczegóły przewodu sądowego

Komarnicki, jakkolwiek zachowywał się wobec sądu ściśle po bohatersku i odegrał najpiękniejszą rolę w procesie — jak stwierdza Semkowicz na podstawie zbadanych akt — nie mógł odeprzeć stawianych mu zarzutów. Oprócz zeznań Tomaszewskiego, obciążały go głównie jego własne zapiski znalezione przy rewizji, z których wynikało komu i ile egzemplarzy swych broszur oddawał.

Komarnicki przyjął całą winę na siebie, wykluczając jakoby dyrektor „Ossolineum”, Słotwiński mógł o jego robocie cośkolwiek wiedzieć. Thumaczył się tym, że „będąc w oślupianych stosunkach materialnych, czynił to dla własnego dochodu, a nie dla jakiegokolwiek komitetu i Słotwińskiemu o tym nigdy nie wspominał”.

Sąd nie uwierzył jednak jego tłumaczeniu się, gdyż w papierach Komarnickiego znalaziono zapiski własnoręczne, z których wynikało, że broszury owe drukował istotnie dla komitetu polskiego we Lwowie, że po wydrukowaniu oddawał je E. Korytko, który płacił za druk i sprzedawał je księgarzom i prywatnym osobom. U samego księgarza Miłkowskiego znaleziono 200 egzemplarzy „Księgi pielgrzymstwa” z datą Awenjon 1833.

Ów E. Korytko, słuchacz fi-

lozofii, był równocześnie oskarżony o należenie do spisku Zaliwskiego, skazany na śmierć, ułaskawiony i zesłany do Stowenii, gdzie zmarł w młodym wieku, jako zasłużony autor zbioru pieśni ludowych słowiańskich.

Główny oskarżony, Konstanty Słotwiński, zachował się wobec sądu z dumą i godnością.

W długim wywodzie odparł on wszystkie stawiane mu zarzuty, nie ugiął się nawet pod brzemieniem nieszczęśliwych rodzinnych, które w czasie uwięzienia nań spadły, przez śmierć żony i dzieci. Mimo krzyżowych pytań sądu, wytrwał dzielnie do końca procesu, który zakończył się jednak zasądzeniem go na osiem lat twierdzy.

...a było to „pra-wydanie”

Do wykrycia tajnych druków przez policję kryminalną przyczyniła się własna nieostrożność kierownika drukarni, który drukując almanach „Ziemia”, wydany przez Augusta Bielowskiego, użył do druku tych samych czcionek, którymi składały się wszystkie druki tajne. Przez porównanie wpadła policja na trop sprawy. Reszty dokonali denuncjanci i świadkowie — współoskarżeni, ludzie słabego ducha.

Takie są dzieje — w najkrótszym zarysie — tajnych druków Mickiewicza w „Ossolineum”. Stanowią one ciekawą kartę w dziejach Zakładu, który był podówczas ogniskiem myśli polskiej i kolebką ducha narodowego.

Jest rzeczą ciekawą, a na ogół mało znaną, że tajne wydanie lwowskie najpopularniejszego w ciągu wieku utworu Mickiewicza, jakim była „Reduta Ordona” — było właśnie pierwszym wydaniem w ogóle tego rapsodu i to dokonany bez wiedzy Mickiewicza i wyprzedzającym ogłoszenie utworu przez samego poetę w „Poezjach” Garczyńskiego — jakoby wspólna własność.

Podał do druku: H. Szczerbowski

OKIENKO na ZACHÓD

POWTARZA... KLASE!

Z więzienia na Florydzie (USA) uciekł pewien przestępca. Mimo zorganizowanego pościgu, wskoczył niezauważony do rzeki i tu schował się pod ogromny liść wodnego hycynthu. Nadbiegła straż więzienna i wówczas jednemu z dozorców wydało się dziwnym, że kwiat... płynie pod prąd. Miłośnik flory wodnej, nie znający zasadniczych praw natury, powędrował z powrotem do więzienia.

WDZIĘCZNY B. MAŻ

W Rzymie odbył się w tych dniach uroczysty pogrzeb pewnego nababę perskiego z nazwiskiem Achat Frinhiom. Znako-mity nieboszczyk wywołał przed kilku laty wielki skandal towarzyski, zabierając znanemu lekarzowi rzymskiemu dr. Silvio Venturiniemu żonę, którą po uzyskaniu rozvodu poślubił. Obecnie na grobie zmarłego nababę znaleźć można wieniec z takim napisem: „Dobroczynny mego domu — wdzięczny S. Venturini!”

NA WSZELKI WYPADEK

Do szpitala w mieście Bamberg (Niemcy zachodnie) przywieziono potulczanego motocyklistę, który zderzył się na ulicy z drugim pojazdem. Zanim jeszcze zabrano go z ulicy, wręczył on przybyłemu lekarzowi formularz Kasy Chorych z dokładnym wypełnionym tekstem „Mam zwyczaj nosić przy sobie już wypełniony formularz” — powiedział poszkodowany zdumionemu lekarzowi. Przechodzący godną polecenia dla niejednego spośród naszych motocyklistów...

TAKŻE STYL

W francuskim mieście Belfort, skazano pewnego r-kruta na trzy dni aresztu, ponieważ opuścił on samowolnie budynki koszarowy. W uzasadnieniu kary napisano dosłownie: „Skazany opuścił koszarę wychodząc przez bramę plecami naprzód, aby wzbudzić u wartownika przekonanie, że wchodzi do koszar!”

Maurycy Jokay a Wielkopolska

W br. naród węgierski obchodzi 130 rocznicę urodzin swojego największego pisarza — Maurycyego Jokaya (1825—1904). Autor słynnego romansu epok — „Poruszy my z posad ziemię” — należał do takich tytanów pracy jak Lope de Vega i Kraszewski — dorobek jego obejmuje bowiem ponad 300 powieści.

Jokay zdobył sobie ogromną popularność nie tylko na Węgrzech, ale także poza granicami swojej ojczyzny. Powieści węgierskiego pisarza ukazały się w następujących tłumaczeniach: 140 w języku niemieckim, 83 w polskim, 30 w rosyjskim, 22 w angielskim i czeskim, 16 w fińskim i szwedzkim, 7 w włoskim i francuskim, a prócz tego dokonywano przekładów na język hinduski. Cyfrę 83 tłumaczeń utworów Jokaya (dokonywanych od roku 1878—1934) w języku polskim podaje bibliografia polonistów tego pisarza — „Jokay regency legel fordításainak bibliográfiája”. Praca ta nie wymienia jednak ani jednej z tych powieści Jokaya, które ukazały się w zbiorach poznańskich. Ponieważ zbiór polonistów obejmuje tylko niektóre utwory drukowane w „Tygodniku Powieści”, możemy stwierdzić, że recepcja literatury węgierskiej jest niezupełnie zbadana. Tymczasem „Dziennik Poznański” zamieścił 4 utwory największego pisarza Węgier: w 1874 „Kamienne serce”, w 1875 „Meza stanu” (tytuł oryginalny — „A szerelem bolondjai”) — „Niewolnicy miłości”, w 1876 „Komediów życia” i w 1874 utwór pt. „Inne czasy — inni ludzie”. Wszystkie te dzieła za wyjątkiem „Komediów życia” ukazały się również w innych zbiorach, jednak tłumaczenie w prasie poznańskiej poza powieścią „Inne czasy — inni ludzie”, były o kilka lat wcześniejsze, co wskazuje na prekursorstwo Wielkopolski w dziedzinie przyswojenia polskiemu czytelnikowi twórczości Jokaya.

Wymienione utwory należą do nurtu krytyczno-postulującego. Za wierają one krytykę arystokracji, jednak atak na tę sferę posiada zróżnicowany charakter — od bezwzględnie pełnego pasji potępienia społeczeństwa w „Meza stanu” do łagodnego wytknięcia wad wyższych sfer w „Komediach życia”. Jest to krytyka w imię interesów tej klasy i ma na celu wciągnięcie jej w nurt nowych kapitalistycznych stosunków.

Prócz tego zawartość ideową, tematyczną powieści Jokaya nasycona jest kultem walki o wolność. Szczególnie w „Kamieniu sercu” pisarz z dużą siłą nastrojową kreśli bohaterskie zmagania Węgrów z ab-solutyzmem austriackim, podkre-

lając przy tym decydującą rolę mas ludowych.

Popularność powieści Jokaya na gruncie wielkopolskim leży w przedstawianiu losów narodu węgierskiego żyjącego w podobnych warunkach politycznych jak Polacy pod zaborem pruskim. Druga przyczyna, to ułomowanie wolności. Toteż kiedy w roku 1874 — określił nasilenia „kulturkampfu” — redakcja „Dziennika” rozpoczęła drukować „Kamienne serce”, utwór ten z pewnością spełnił rolę „krzepienia serca”. Aktualność powieści Jokaya polegała na postulowaniu konkretnego programu postępowania narodu będącego pod zaborem. Mamy tu więc hasło pracy organizacyjnej, utrzymania ziemi w rękach czystych, solidaryzmu, a ponadto kult walki o wolność i bezwzględne potępienie wszelkich przejawów lojalizmu. Jest to program niemalże identyczny z postulatami poznańskich pozytywistów, którzy w pracy organizacyjnej, w powiększaniu potencjału ekonomicznego społeczeństwa widzieli jedyny środek obrony przed eksterminacją polityką Prus. Szerzenie tego prądu w Wielkopolsce w przeciwnieństwie do pozytywistów warszawskich (Świętochowskich) ostro też zwalczała hasła ugodowej współpracy z zaborcą. Powieści Jokaya były mieszanką W. Ks. Poznańskiego tym bardziej bliskie, że pisarz często wspominał naród polski, porównując jego położenie z losem Węgrów. „Z wyjątkiem polskiego nie ma naprawdę narodu, którego domy zaludnione byłyby tyloma straszonymi i bolesnymi przejmującymi obrazami, co do my węgierskie. One to składają się na narodową niejako martyrologię” — czytamy w „Meza stanu”.

A jak przedstawia się obecnie poczytność Jokaya? Możemy stwierdzić, że utwory węgierskiego pisarza cieszą się nadal dużą popularnością, o czym świadcza dokonane w wielu tysiącach egzemplarzy wznowienia jego powieści w Węgierskiej Republice Ludowej. Również i u nas nie zapomniano o Jokayu. W 1948 roku ukazało się nakładem Książki i Wiedzy „Kamienne serce”, w 1949 roku dziełko temu wydawnictwu cytaliśmy „Poruszy my z posad ziemię”, a w 1953 roku Czytelnik wydał powieść pt. „Złoty człowiek”.

M. LUCZAK

Drożdże ludzkości

Na ich czele — nasz Nikifor, syn głuchoniemej żebraczki, nazywany popularnie „Mozaiką Kryniczy”, a zapisany w księgach jako Nikifor. Jak prawdziwy cygan-artysta lubił włóczyć i żywot koczowniczy, jeżdżąc często „na gapę” po całym kraju, albo wędrując piechotą ze swoją skrzyneczką malarzską i kilkoma arkuszami papieru do pakowania. Na zimę zazwyczaj wracał do Krynicy i otwierał tam swój sklepik malarzski w parku, przy drodze na ławeczce. Wystaw i prasy nie uznawał, krytyka była mu obojętna. Był dziwakiem i miał osobliwe gusta; nie uznawał klusek ani pierogów — jadał wyłącznie mięso, nie przyjmował papierowych pieniędzy, ale lśniące srebro, brzęcząca moneta. Jeżeli przyszło zgodzić się na papier, to musiał on pochodzić wprost spod prasy, klejający się jeszcze, z zapaszkami nowości.

PLEBEJUSZ - ARTYSTA

Malował dziecinnymi akwarelami z guziczków. Gdy mu pokazywano sławnych malarzy, aby objawił swój gust i smak, żaden mu się nie podobał, nawet Tycjan czy Leonardo był mu za słaby, ale gdy zobaczył van Goga i El Greca — wstrząsnęło nim. Instynktem wyczuł potęgę pędzla tych artystów, a ten właśnie podświadomy instynkt malarzski, bez jakiegokolwiek sztuczności prowadzi przez długie lata nieomylnie drogą do swego artystycznego przeznaczenia. Droga to szczytna, jakby najprymitywniejszymi kwiatami zasłana, bez perfumy jakichś świadomych archaizmów, deformacji przez inteligencję i wyrachowanie.

Nikifor działa na widza swoją szczerą, wzruszającą naiwnością, swoją bezpośrednością. Sztukę Nikifora nie nazwał bym koniecznie ludową w sensie Stryjeńskiej — to jest swoista kultura chłopstwa, nieuczonego plebejusza z intuicyjnym wy-czuciem barwy, tonu, waloru i gamy; muzykalność ślepego, bez rafinerii z naiwnością dziecka, u którego najbanalniejsze zwroty plastyczne brzmią jak głęboka filozofia. Te niezmiernie bogactwa zaobserwowane w przyrodzie, odkryte dzisiaj przez świat kulturalny w sztuce Nikifora, w twórczości niby to nieodważnego na pozór żebraka, zachwycają cały świat, bo Nikifor dzisiaj znany jest nawet w Paryżu na Montmartrze.

Obrazy swoje maluje Nikifor jak domy, stawiając cegły na cegle, piętrowo na piętrowo, z nieubłaganą logiką, jakby posiadał jakiś szósty zmysł. Nie jest on przy tym odosobnionym zjawiskiem w sztuce plastycznej ze swoim światopoglądem malarzskim. Na zupełnie innym biegunie, w zupełnie innym środowisku, bez jakiegokolwiek powiązania zewnętrznego z nim — wyrósł malarze

CIEKAWOSTKI MALARSKIE

bez ogólnego wykształcenia, malarze-samouki. Do takich należą:

PIĘKNO SUROWEGO ODCZUCIA ŚWIATA

Maurice Utrillo, który siedział owej sztuki zupełnie luzem, na dziko, jako niezwiązany z nikim samotnik. Matka jego Francuzka, a ojciec Hiszpan, dziennikarz, po którym syn odziedziczył żyłą pijacką. Kochająca matka wynajmowała mu butelkę z ręki i dawała odówek czy pedzel. Sama dobra malarzka, robiła to z tą cierpliwością serca matczynego i — o dziwo — „chwyciła”. Syn rzucił butelkę i coraz namiętniej imał się pędzla. Obudził się w nim artysta i teraz maluje, bo już malować musi, bo to jest jego nakaz wewnętrzny. Bez twórczości żyć nie może.

Dla takich ludzi jak Utrillo świat realny, ciężar, twardość, czy miękkość, smak, słońce, szum fal morskich, zapach kwiatów — to wszystko rzeczywistość istnieje, to jego świat realny, widzi go przez okulary swego temperamentu i dyspozycji psychicznej. Jest to jego własne, podmiotowe wrażenie. Nie zna żadnej wy-myślności, wyrafinowanej, żadnych szumnych programów. Nie ulega żadnym wzorom (takim zresztą był każdy prymityw w gotyku) — bodźcem tutaj nie był trans po winie francuskiej, lecz żarliwość wiary tych czasów, zapalenie się w zaświaty, mistyka. Obojętny jest środek — ważny jest efekt. Tak też nasi malarze ludowi malowali przedziwne Madonny na szkle.

GALERIA DALSZYCH TALENTÓW

„Les maitres populaires” — nazywają ich Francuzi. I tak z prymitywu, prostoty spojrzenia na otaczający świat wy-

rósł Utrillo na wielkiego, bogatego, sławnego, cenionego malarza. Do tej grupy zaliczyć trzeba następnie Henri Rousseau — celnika. Do tej grupy należy, jakkolwiek zupełnie niezależna od nich, służąca krytyka artystycznego H. Uhdego (nie Fritza Uhdego) Séraphine Louis, która, niestety, w skrajnej nędzy zmarła w przytułku dla starców, a pozostawiła po sobie nieśmiertelne obrazy kwiatów, martwej natury, czarujące swoją prostotą. Może z wszystkich kobiet malujących, ona — prócz naszej Bożnańskiej i Käthe Kollwitz — ona jedna nie splamiła się paletą nigdy. Dalej, zapomnieć nie możemy o René Rimbault, pejszażyście, idącym swoim instynktem malarzskim, jakby śladem niezrównanego, nieocenionego Vermeera van Delfta i jego niezapomnianej kolorystyki.

Na tym nie koniec. Adolf Dietrich, szwajcar, robotnik fabryczny, drwal leśny, zawsze bliski motywu drwała i siekiery. Dalej Camille Bombois, syn rzecznego galernika (burliaka), parobek i pastuch wiejski, który widy od gnoju zamienił na pedzel; później dla chleba był niezgorszym atletą cyrkowym, potem był robotnikiem przy budowie metra w Paryżu, ale pędzla w wolnym czasie z ręki nie wypuszczał. W końcu zawód atlety mu obrzydł i był posługaczem w drukarni prasowej, gdzie nocą na plecach dźwigał bele rotacyjnego papieru, a w dzień malował, i to jak! W końcu pocztowiec Louis Vivin, malarz architektury, on to droga własnej ewolucji z naiwnego realizmu przeszedł do surrealizmu.

Cała ta plejada, która oświeściła zapewne się nie znała, której nie znał długi czas świat cały, bo oni go nie szukali, dzisiaj stoi wysoko w wartości artystycznej, jako malarze, choć żaden z nich akademii malarzskiej nie ukończył, dyplomu nie posiadał. Wszyscy oni pochodzili z „gminu” — z tych „drożdży ludzkości”.

Inż. K. MAYER

Ze starych szpargałów

Miał świadków

Przypominamy mieszkańcom Chwałkowa pod Krobią krewkiego ich dziedzica sprzed 100 lat, posta na sejm pruski, wroga pruskich urzędników — Józefa Bojanowskiego.

Miał raz nieszczęście wpaść w jego ręce pruski egzekutor, który swoim gburawym zachowaniem wywołał jego gniew. Dziedzic chwycił za koltierz urzędnika, wpakował go do pokoju,

tam go sprzął batem. Gdy ten z krzykiem wyleciał na podwórze, służba spostrzegła za nim biegnącego pana z butelką wina i kieliszkami:

— Panie egzekutorze, tylko jeszcze tę jedną butelkę wypijemy!

Sprawa oparła się o sąd. Prawdopodobnie wygrał Józef Bojanowski, bo był dzie-dzicem i miał świadków.

(S)

PRZED ROKIEM A. O. PARIN OPUBLIKOWAŁ W „KOMUNISZCIE” ARTYKUL POŚWIĘCONY OPEROWANEJ PRZEZ SIEBIE TEORII O POCHODZENIU ŻYCIA NA ZIEMI. PODSUWUJĄC SWE WYWOŁY, OPARIN M. IN. STWIERDZIŁ:

„DROGA DO SYNTETY ŻYCIA WYMAGA JESZCZE BARDZO SKOMPLIKOWANEJ I WYŁĘCZAJĄCEJ PRACY UCZONYCH RÓŻNYCH SPECJALNOŚCI. LECZ TERAZ NIE MA ZADNEJ WĄTPLIWOŚCI, ŻE SYNTETU TAKĄ W ZUPŁNOŚCI MOŻNA URZĘCZYWIŚCIZNĄ.”

„PRAKTYCZNEGO, LABORATORYJNEGO POTWIERDZENIA TEJ PRZEPOWIEDNI JUŻ DOCCZEKAŁISMY SIĘ.”

SYNTEZA ŻYCIA — WIRUS W RETORCIE

Kilka dni temu dwaj badacze z uniwersytetu w Berkeley (stan Kalifornia) biochemik, dr H. L. Fraenkel-Conrat oraz profesor biofizyki, dr R. Williams, opublikowali sensacyjny komunikat, głoszący, że udało im się dokonać w doświadczalnej retorcie „pierwszej częściowej syntety wirusa”.

UKORONOWANIE DŁUGIEJ KARIERY

Niepozorna submikroskopowa drobina zwana wirusem uczeni od dawna podejrzewali, że w końcu właśnie ona zdradzi ludzkości tajemnicę przeobrażenia się materii martwej w materię żywą. Przyczyna tych podejrzeń było specjalne

miejsce zajmowane przez wirusa w hierarchii natury.

Komórki najmniejszych bakterii posiadają wielkość od 1 do 0,5 mikrona (mikron — 1/1000 mm). Wirusy są tworam i jeszcze mniejszymi, mieszczącymi się w wymiarach od 170 do ok. 10 milimikronów (1 milimikron — 1/1000 mikrona, czyli — jedna milionowa część milimetra). Najmniejsze z wirusów zbliżają się do wymiarów drobin chemicznych. Drobin cukru mają np. ok. 1 milimikrona, drobiny białka ok. 5 milimikronów, wirus zarazy pyska i racic ok. 8—12 milimikronów. Wirusy są więc cząsteczkami o wymiarach pośrednich pomiędzy najmniejszymi komórkami bakterii a największymi drobinami chemicznymi. Są one ogniwem łączącym kolejnymi szczeblami świat drobin chemicznych ze światem organizmów.

ŻYJE — ALE JAK?

Także pod względem swych własności fizykochemicznych i biologicznych wirus jest czymś pośrednim pomiędzy żywym organizmem — komórką, a nieożywioną drobiną chemiczną.

Trzeba go zaliczyć do istot żywych, posiada bowiem zdolność pobierania składników po karmowych z otoczenia i przetwarzania ich na substancję specyficzną własnego ciała. Wirus — podobnie jak wszystkie inne twory żywe — na skutek asymilacji pokarmowo rośnie i rozmnaża się, przekazując dziedziczne cechy swego gatunku.

Ale gdy w roku 1935 po raz pierwszy udało się uczynić wyodrębnić z rośliny tytoniu zakażonej chorobą mozaikową zarazek wirusowy, wyodrębnić — ku zaskoczeniu biologów — w formie krystalicznej, nieczymś jak cukier, przekonano się, że ta „żywa istota” nie jest organizmem. Wirus nie posiada żadnych organów, ani jakiegokolwiek zróżnicowania pod względem budowy. Nie posiada on organizacji komórkowej, charakterystycznej wieloskładnikowej budowy protoplazmy; składa się z jednego tylko elementu: z białka. Wirus jest substancją chemiczną jednorodną i z punktu widzenia chemicznego „osobnik” — wirusa są indywidualnymi drobinami białka.

MGLISTA GRANICA

Wraz z odkryciem tych właściwości wirusa nauczono się dotrzeć do samej granicy dzielącej świat materii żywej od materii nieożywionej. Już wtedy, przed dwudziestu laty, doświadczenia laboratoryjne biochemików potwierdziły starą tezę Engelsa, że między materią nieożywioną a życiem nie ma jakiegś nieprzebytej przepaści. Tym samym już wówczas nauka dostarczyła decydujących argumentów na rzecz materialistycznego poglądu na istotę życia, głoszącego: że życie jest szczególnie złożoną formą ruchu materii, formą, która na określonym etapie rozwoju świata nieożywionego wyrosła zeń jako nowa jakość; że powstanie istot żywych było rezultatem długotrwałych przemian, długotrwałego procesu samorozwoju materii nieożywionej.

KOLEBKĄ BYŁ PRAOCEAN

Według teorii Oparina — najbardziej do chwili obecnej naukowo udokumentowanej teorii wyjaśniającej etapy procesu narodzin życia na Ziemi — kolebką życia był praocean. W mieszanym wiatrem, nagrzewanym słońcem przybrzeżnych rozlewiskach i zatokach tego oceanu, niby w retortach, w ciągu milionów lat powstawały coraz to bardziej skomplikowane związki chemiczne. W chwili powstania odpowiednich stężeń różnych związków węgla, wodoru, azotu na stało wyodrębienie skupień drobin. Z jednolitego roztworu różnych związków organicznych wyodrębniły się od czasu malenkie kropelki. (Chemia proces ten łatwy do odtworzenia w laboratorium nazywa koacercacją). Oparin opierając się na współczesnych badaniach fizyko-chemicznych dowodzi, że te kropelki — koacercaty w toku dalszej długiej ewolucji przeobraziły się w ciała białkowe, posiadające już cechy życia.

Bardzo ważną przesłanką przemawiającą na korzyść tej teorii było stwierdzenie (wraz z poznaniem właściwości wirusów) faktu, że granica między materią nieożywioną a materią żywą jest stosunkowo wąska. Przy tym wszystkim jednak ta granica, dzieląca życie od świata nieożywionego, pozostała dla wiedzy ludzkiej granicą nieprzekraczalną. Ale i tę nieprzekraczalną granicę udało się w końcu przełamać. Koronując tym samym wytrwałe wysiłki naukowców całego świata, koronując długą naukową karierę drobin, której istnienie przewidywał jeszcze Pasteur i którą na zapas obdarzył nazwą: wirus.

MOZAIKOWY WIRUS „ROZKŁADANY”

Kalifornijscy uczeni twierdzą, że udało im się żyjący wirus choroby mozaikowej tytoniu rozłożyć na jego chemiczne części składowe, a następnie dokonać powtórnego połączenia tych nieżywych elementów, tworząc z nich na nowo żywą substancję.

Jakie praktyczne korzyści przyniesie ludzkości odkrycie uczonych kalifornijskich?

Ten sam ośrodek uniwersytecki złożył ostatnio drugie sensacyjne oświadczenie: dokonaliśmy krystalizacji wirusa choroby paraliżu dziecięcego (Heine-Medina). Niewątpliwie to drugie osiągnięcie pozostaje w związku z pierwszym odkryciem.

Ale idźmy dalej, sięgnijmy myślą w przyszłość. Przypomnijmy, że wykorzystując węglowodory jako materiał wyjściowy, współczesna chemia potrafi sztucznie przygotować prawie wszystkie skomplikowane związki chemiczne, z których zbudowane są ciała roślin i zwierząt. We współczesnych laboratoriach chemii sztucznie syntezują tłuszcze i cukry. Nowoczesne metody chemii organicznej pozwalają z węglowodorów wyprodukować cały komplet aminokwasów, tych „cegiełek”, z których zbudowana jest cząsteczka każdego białka. Potrafimy także wiązać te aminokwasy, syntetyzując z nich proste związki białka. M. in. S. E. Breslerowi, uczonemu leningradzkiemu, udało się przeprowadzić w warunkach wysokich ciśnień syntezę skomplikowanych wysoko-cząsteczkowych związków białka, bardzo podobnych do ciał białkowych noszących cechy życia.

Jeśli więc tylko doświadczenia innych naukowców potwierdzą wyniki otrzymane przez Fraenkel-Conrata i Williamsa — a nie mamy podstaw, by w to wątpić — przed ludzkością — w rezultacie dalszych badań — stanie otworem droga do tworzenia życia przy wykorzystaniu jako materiału wyjściowego węgla, wodoru, azotu...

WYPRODUKUJEMY WIRUSY... ZDROWIA(?)

Więcej! Skoro istnieje możliwość rozkładania wirusa na części prostsze i powtórnego łączenia go, to niewątpliwie istnieje także możliwość tworzenia całkowicie nowych, białkowych substancji żywych, wirusów „zmodyfikowanych”, takich, które zamiast powodować chorobę, będą leczyć, zwalczając inne wirusy czy bakterie, lub spełniać jakieś inne pożyteczne dla człowieka prace... Stanley, zasłużony badacz wirusów, komentując odkrycie uczonych kalifornijskich twierdzi, że właśnie w tym kierunku powinna iść obecnie praca naukowców. Przewiduje on, że do syntetycznego wytwarzania takich zmodyfikowanych żywych wirusów, wytwarzania w laboratorium „mechanizmu zdolnego do reprodukcji” nauka musi dojść w ciągu najbliższego pięćdziesięciolecia.

Ciekawa jest nasza epoka. Nauka w naszych czasach nie tylko rozbiła atom. Siega już nawet po laury bogów, wkracza w zagwarantowane im wiekowymi wierzeniami kompetencje: stwórców życia.

T. Jędrzejewski

JESIENNY SALON LITERACKI czyli

„cicer cum canie” z drugiego brzegu oceanu

Felieton literacki, a już zwłaszcza gdy chodzi o literaturę obcą, z reguły krąży wśród podniebnych szczytów. Omawia arcydzieła, a przynajmniej najwybitniejsze pozycje. Jest to zresztą całkowicie słuszne, bo skoro niepodobna mówić o wszystkim, należy przede wszystkim zdac sprawę z ekstraklasy.

Ale taka metoda ma i pewne wady. Często nie daje pojęcia o tym, co stanowi zwyczajną, codzienną strawę szerokiej publiczności, niejako jej chleb codzienny.

Kariera dentysty!

Tak więc trudno na przykład, mówiąc o bieżącej produkcji wydawniczej Stanów Zjednoczonych, pominąć zjawisko, które nie artystycznym poziomem, rzecz jasna, lecz masowością popytu nadal dominuje. Corocznie wychodzą nowe powieści Zane Greya, znanego i u nas autora niekończącego się cyklu przygód kowbojskich z terenu „dzikiego Zachodu”. Grey, z zawodu dentysta, gdy się wziął do pisania, wytwarzał te „zachodniaki” w tempie tak zawrotnym, że wydawcy nie nadążali z drukami. I chociaż pisarz umarł już dość dawno, pozostawił zapas, który starczy podobno jeszcze na wiele lat. Dotychczas wyszło 55 książek o łącznym nakładzie 28 milionów egzemplarzy.

Nieźle.

W promieniach nadfioletowych

Jeżeli Zane Grey należy do rzędu wytwórców taniej sensacji, to niewątpliwie w klasie najwyższej umieszcimy autora „Wyspy skarbow” i tyłu innych świetnych powieści. A właśnie wyszedł dziennik jego żony, Amerykanki, uzupełniony szeregiem nieznanych listów Stevensona. Rękopis dziennika zawiliłymi drogami trafił do muzeum, powstałego w Monterey, w Kalifornii, gdzie twórca Dr. Jekylla i Mr. Hyde’a mieszkał za swym pierwszym pobytom w Ameryce i klepał długi czas biedę. Stan rękopisu, niestety, był opłakany: całe ustępy wymagały kłosa atramentem. Wydawca, Charles Neider, użył promieni poafioletowych i w ten sposób odczytał tekst. Dziennik obejmuje ostatnie cztery lata życia Stevensona. Spędził je z rodziną na jednej z wysp samoanskich, w małej posiadłości, którą nazwał Vaillama. Zasiadł wkrótce pośród wyspiarzy jako Tusitela, czyli „opowiadacz baśni”. Pamiętnik żony, a zarazem współpracownicy pisarza, stanowi ciekawy dokument. Wart polskiego przekładu.

Bomba z Kolumbem

Stevenson cofa nas w przeszłość, a zatem w historię. Tu zaś rozgorzał na nowo stary spór o to, kto był właściwym odkrywcą Ameryki. Powszechnie przyjęto za pewnik, że uczynił to Kolumb, choć z drugiej strony wiemy, że łódź przezeń odkryty nazwano imieniem innego podróżnika, także zresztą Włocha — Amerigo Vespucci. Kryje się w tym sprzeczność i z tego powodu na postać Amerigo od przeszło czterech stuleci pada posępny cień. Był przecież przyjacielem Kolumba, mimo to wyzwał go z chwały i sobie ją przywłaszczył. Pierwszy z tym zarzutem wystąpił historyk z XVI wieku — Las Casas. I tak już zostało, choć raz po raz odzywały się głosy w obronę pamięci Vespucci. Najnowszym z tych obrońców jest pisarz kolumbijski, German Arciniegas. W oparciu o liczną korespondencję swego bohatera, dowodzi on, że Ameryka nosi jednak imię swojego właściwego odkrywcę, gdyż Vespucci na rok przed Kolumbem lądował na jej wybrzeżu. A ściślej — na stałym lądzie. Rzecz ciekawa, książka Arciniegasa zrobiła największą furorę nie w Kolumbii, oczywiście autora, lecz w Stanach Zjednoczo-

nych. Jak widzimy, kraj Waszyngtona jest szczególnie dbały o nieskazitelność swego imienia.

Frontalne starcie

Dla innych zupełnie przeciwnie robi także furorę książka Bud Schulberga „Waterfront”, czyli „Nabrże”. Tematem jest sprawa stosunku religii do konfliktów rzeczywistości. Czy duchowny ma ograniczyć się tylko do „słusznej bożej”, czy też walczyć ze złem, jakiegoś wiadzi pismo dokoła. Wobec takiego pytania staje bohater powieści, książka Barry, gdy z racji pracy w parafii styka się z bandą gangsterów. Banda terrorizuje robotników portowych i trzęsie ich związkami. Jej szef, a oficjalnie przewodniczący związku, cieszy się poparciem partii rządzącej i cichą protekcją kurii. Biskup ostrzega księdza: two miejsce przy ołtarzu. Grozi suspensą i usunięciem z parafii. Ale do księdza Barry przychodzi i wdowa jednego z robotników zamordowanych przez bandę. Błaga o ratunek, woła: Ktoż święty krył się w kościele? Przychodzi chwila rozterki: sumienie, czy posłuszeństwo. Serce mówi, że Kościół wtedy tylko był wielki i wydawał świętych, kiedy nie wiązał się z żadną polityką, gdy walczył z nieprawością wszędzie, nawet we własnym łonie. Książka Barry pójdzie za głosem serca i wytrwa do ostatka w walce.

Omawiając książkę pras amerykańska podkreśla, że problem religijny jest rzadkością w literaturze Stanów, mimo pozornej religijności kraju. Częste są tylko powieści historyczne, w których Ziemia Święta stanowi malownicze tło. Ale jeszcze ciekawsza jest inna okoliczność: oto cała treść książki, postacie, bieg i miejsce wydarzeń zaczerpnął Schulberg bezpośrednio z rzeczywistości i to doby najnowszej. Opisane wypadki zdarzyły się w Nowym Jorku w roku 1953, a prawdziwe nazwisko bohatera brzmi: książka John M. Corridan.

Wynalazca... wanny

Zamykając ten krótki, dorwczysty i z konieczności bardzo niepełny przegląd, wspomnijmy w paru słowach o wydanej zaledwie przed kilku tygodniami antologii pism najbardziej zaczeptego i wszechstronnego z dziennikarzy amerykańskich, Henry Louis Menckena. Przez lat 40 atakował wszystkich i wszystko, ze szczególnym upodobaniem dobierając się do podskewi obyczajowej swojego kraju. Od wielkiej polityki, czy różnych gatunków przemownej i hałaśliwej obłudy, stanowiącej wygodny parawan dla nadużyć i zbrodni, przetrząsał się do spraw drobnych, wytykając bez miłosierdzia śmieszności, snobizm i zakłamanie epoki. O politykach mówił, że uczciwość wśród nich jest równie wykluczona jak prawość w wamiyacy; o kościołach, że „prosperowały tym lepiej, im bardziej nurzały się w brudach”. Pisał o sprawie kobiecej i zagadnieniach języka, o literaturze i słynnych procesach. Kiedyś ogłosił dla żartu, że pierwszą wanną na świecie wynalazł Amerykanin i odkrycie to weszło do wszystkich encyklopedii, mimo protestów Menckena, że chciał tylko zakpić z megalomanią rodaków. Krytykował obydwu Rooseveltów, Wilsona, Hardinga, Coolidge’a, Hoovera i Trumanę, słowem — wszystkich kolejno współczesnych mu prezydentów. Dopiero dla Eisenhowera znalazł „laskawcze” słowa, twierdząc, że „jak na generała sprawuje się nieźle”.

Tak z lotu ptaka wygląda w USA tegoroczny „salon jesienny” literatury. Arcydzieł w nim nie znajdziemy. Ale znajdziemy lustro, czy choćby fragment lustka, w którym się odbijają zainteresowania i gusty milionowych mas amerykańskich czytelników.

JULIAN STAWIŃSKI

Fantastyczny pomysł:

w niedalekiej przyszłości — realny

Zapora w Cieśninie Beringa ZMIENIA KLIMAT

Czy istnieje możliwość odkrycia w naszym stuleciu nowego kontynentu z bogactwami naturalnymi i umiarkowanym klimatem, zbliżonym do europejskiego? To pytanie zadał wcale nie jakiś utopijny romansopisarz, lecz uczonego radzieckiego — profesor Markin. Znalazł on na nie odpowiedź twierdząc, że istnieje możliwość dokonania pewnych poprawek w geologicznym rozwoju naszej planety. Projektuje on zaprzęcić do owej pracy technikę atomo-

Przez skonstruowanie na dnie Beltu Małego i Wielkiego odpowiednich tam udaloby się odprowadzać wody Bałtyku do Morza Północnego, zapobiegając jednocześnie przesyceniu ich solą z basenu północnego. Dokładne obliczenia wykazały, że po upływie piętnastu lat, Bałtyk przestałby być zbiornikiem zasolonym.

W sposób sztuczny można również spowodować powstawanie prądów morskich, które pod względem siły nie ustępowałyby Golfstromowi. Według projektu profesora Markina chodzi tu o ocieplenie masy wód, które obiegają od Północy znaczną część kontynentu Związku Radzieckiego i Ameryki Północnej. Są to tereny po dziś dzień praktycznie nie zamieszkałe i nie zagospodarowane (jak na przykład Alaska, która na swej powierzchni obejmującej 1518 717 km kw. posiada zaledwie 128 000 mieszkańców). Ogółem 5,5 miliona kilometrów kwadratowych przez 9 miesięcy w ciągu roku znajduje się w okowach arktycznych lodów.

Bez energii atomowej — ani rusz!

Azja i Ameryka oddzielone są od siebie na wysokości kręgu polarnego 100-km. szerokości Cieśnina Beringa, łącząca wody Pacyfiku z wodami Oceanu Lodowatego. Projekt prof. Markina przewiduje zbudowanie w tej cieśninie wielkiej tamy, która umożliwiłaby spływanie zimnych prądów północnych na Południe. Jednocześnie setki zainstalowanych pomp poruszanych energią atomową, przerzucałyby ogromne masy wód ciepłych z Pacyfiku do Oceanu Lodowatego. Ciepłota przelewanych wód zmieniłaby klimat ziem polarnych, likwidując raz na zawsze słynny Niż Syberyjski, miejsce i źródło powstawania wielkich mas zimnego powietrza, napierającego nie tylko na północne połacie ZSRR i Ameryki, lecz także sięgające kontynentu europejskiego.

...i zgodnej współpracy narodów

Tam, gdzie dzisiaj natura nie jest dla człowieka łaskawa, mogłoby już wkrótce powstać żyzne pola, bogate miasta i osiedla.

Jest to oczywiście projekt, którego doniosłość i rozmiary wymagają użycia potężnych sił technicznych. Oczywiście bez zgodnej współpracy międzynarodowej szeregu państw byłoby to także niemożliwe. Odbyta niedawno w Genewie międzynarodowa konferencja w sprawie pokojowego zastosowania energii atomowej dowiodła, że taka współpraca narodów jest rzeczą możliwą.

Opr. M. J.



Tajemnice różnic klimatycznych

Wpierw jeszcze zastanówmy się, w jaki sposób oddziaływały zmiany cieplne na klimat? Każdemu wiadomo, że cyrkulacja wody związana jest najsilniej ze zjawiskiem ciepła. Woda kładąca pod ziemią, w zbiornikach morskich i w atmosferze, ogrzewa się, ochładza, zamienia w parę, zachowuje i pobiera ciepło od promieni słonecznych i z kolei oddaje je z powrotem. W ten sposób spełnia ona niezwykle istotną funkcję w procesie bezustannych wahań temperatury w ciągu dni, tygodni, miesięcy i roku. Jeżeli więc uda się człowiekowi wpływać na podwyższenie ciepłoty wody, wówczas powstana realne możliwości zmiany klimatu.

Również problem powiększenia ilości opadów atmosferycznych nad kontynentami jest we dług oświadczeń uczonych radzieckich jednym z podstawowych sobie przez naukę celów.

Bałtyk „słodkim” morzem?

Morze Bałtyckie na przykład, dzięki swym licznym wyspom i bogato wykształconemu porbrzeżu, paruje bardzo poważnie. Jeżeli udałoby się przemienić je w morze słodkie, wówczas wody przydenne tegoż morza uległyby poważnemu oziębieniu. Tym samym w porze jesiennej i zimowej ogromne masy wód na skutek wyparowania zostałyby przywrócone kontynentowi europejskiemu. Ilość ta obliczana jest na około 30 mld. ton. Pozbawienie więc Bałtyku poważnego procentu zasolenia, przyczyniłoby się do poprawy klimatu europejskiego.

Pozornie nieskomplikowane

Wiadomo, że w Sundzie i Belcie, które nie są ani szerokie, ani głębokie, spotykamy dwa prądy z kierunków przeciwnych: powierzchniowy wpływa z Bałtyku do Morza Północnego, a głębinowy, odwrotnie.

W sprawie chuligaństwa

Sprawą chuligaństwa w Ząbkach Górnych zajmują się bardzo gorliwie. Ostatnio jako pierwsza poświęciła zebranie temu problemowi młodzież nie zorganizowana. Najpierw przemawiał kol. Piszczalka. Potem kol. Korzonek, jako nieoficjalny przedstawiciel chuliganów na tutejszym terenie, przeprowadził samokrytykę, dzięki czemu został wybrany do komisji organizacyjnej. Następnie mówcy proponowali kolejno:

a) aby zorganizować świetlicę,
b) ażeby ograniczyć sprzedaż wódki w sklepach gromadzkich,
c) aby wszystkie zabawy bez wyjątku odbywały się bezalkoholowo,

d) aby zorganizować zabawę dochodową w celu uzyskania funduszy potrzebnych do walki z chuligaństwem.

Po długiej i burzliwej dyskusji pierwsze trzy pozycje zostały w głosowaniu jawnym odrzucone, a to z następujących powodów:

ad a) brak na zorganizowanie świetlicy funduszy, które należy najpierw zdobyć,

ad b) ograniczenie sprzedaży wódki w sklepach gromadzkich przyczyni się poważnie do niewykonania planów miesięcznych „na detalu”,

ad c) spożywanie alkoholu na zabawach mimo pewnych zastrzeżeń ma nie tylko wpływ na wywołanie odpowiedniego nastroju wśród spożywających, ale także w poważnym stopniu zasila kasę organizatorów zabawy,

ad d) czwarty wniosek w głosowaniu tajnym przeszedł jednogłośnie.

Również troskliwie sprawą chuligaństwa zajęła się nasza młodzież zorganizowana. Dyskusja trwała kilka godzin. Zgłoszono najróżniejsze propozycje. Byli tacy, którzy uważali, że młodzież na wsi powinna się czymś zająć, zwłaszcza teraz w okresie jesienno - zimowym.

— Zaprenumerujemy czasopismo!

— Kupimy radio, stworzymy zespół taneczny.

— Ale za co?

— Za pieniądze uzyskane z zabawy, którą zorganizujemy w najbliższym czasie! — uchwalili wszyscy jednogłośnie.

Także i pracownicy miejscowej gminnej spółdzielni zabrali głos w sprawie chuligaństwa.

— Ażeby skutecznie walczyć z chuligaństwem musimy mieć fundusze. Wtedy bezzwłocznie przystąpimy do zorganizowania takich sposobów walki,

które niewątpliwie i raz na zawsze położą kres chuligaństwu.

— A w jaki sposób najłatwiej zdobyć fundusze?

— Może by zorganizować przedstawienie — zaproponował ktoś z zebranych. — Nie tylko zdobędziemy fundusze, ale wciągniemy młodzież do pracy kulturalnej.

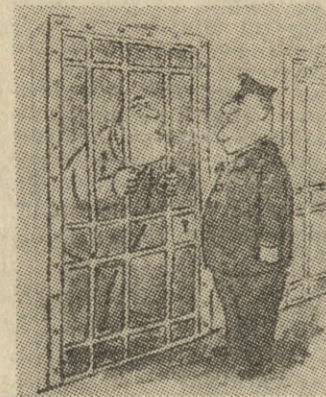
— Za dużo roboty! — zauważył ktoś inny.

— Trzeba urządzić zabawę taneczną! — rzucił propozycję magazynier Czakawa. Propozycja została przyjęta przez aklamację.

W niedzielę w Ząbkach Górnych odbyły się trzy zabawy. Kol. Korzonek, nieoficjalny przedstawiciel chuliganów na tutejszym terenie, po wywołaniu piątej z kolei awantury na trzeciej zabawie odwieziony został do szpitala powiatowego. Nie będzie on prawdopodobnie mógł uczestniczyć w następnych zabawach, które organizatorzy urządzają... od dwu lat w celu zdobycia funduszy do walki z chuligaństwem. Jak dotąd — bez rezultatu.



— Przepraszam, ja tylko wypróbowałem nową piłkę...



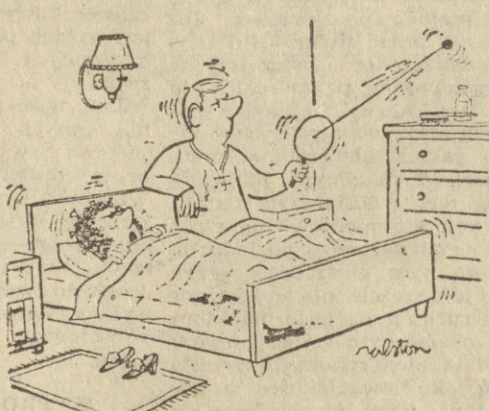
— Nudzi mi się...



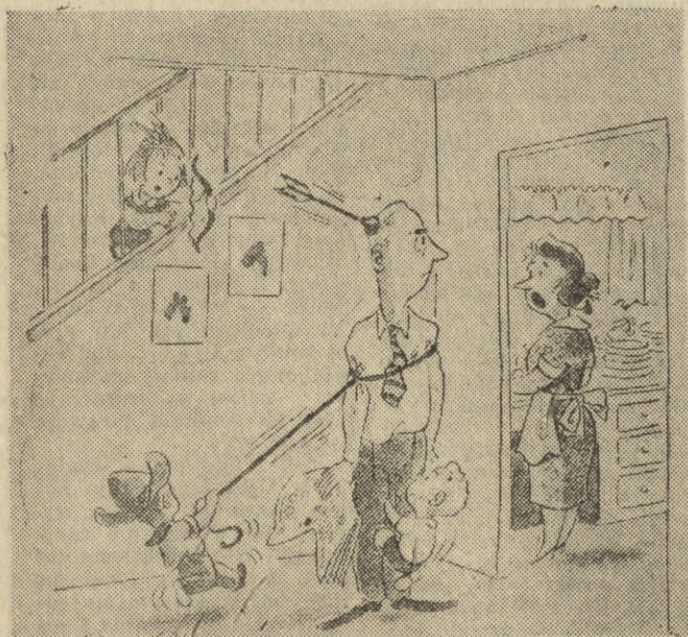
— Czy macie puder z siarki?



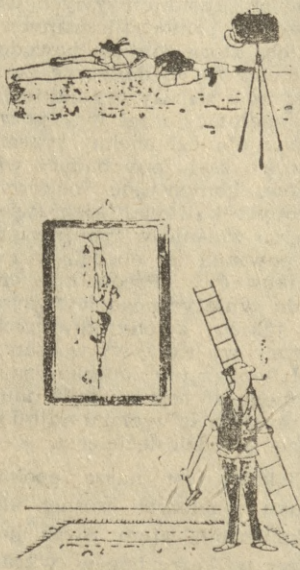
Bez słów



— Dlaczego nie próbujesz liczyć do tysiąca, jeżeli nie możesz usnąć?
(Ullenspiegel — Amsterdam)

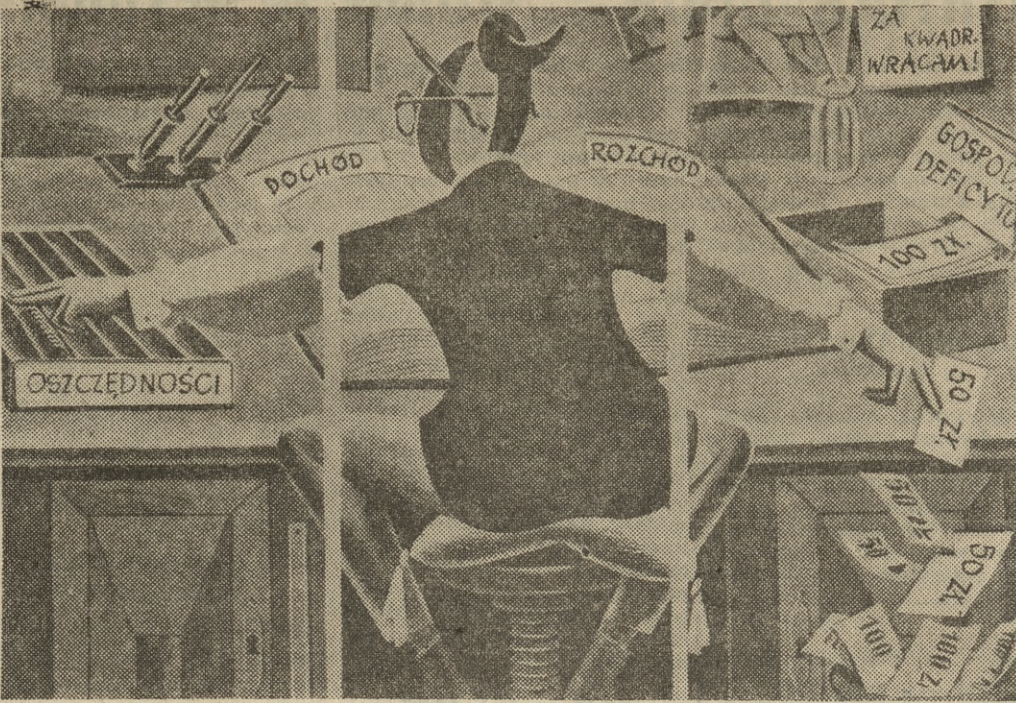


— Nie złość się tak na nich. Przecież widzisz ich tylko wieczorem.



Bez słów

Wielu naszym kierownikom przedsiębiorstw — do sztabuchy.



Nie wie lewica ...

... co robi prawica

Rys. K. Birkner

Ze starych

baśni chińskich

Niedźwiedź i żmija

Rozkoszującego się porannym spacerem niedźwiedź nagle ugryzła w łapę żmija. Niedźwiedź nie stracił rezonu i olbrzymią łapą przyduł ją do ziemi. Nie mogąc się wyrwać żmija zaczęła pertraktacje.

— Patrzcież tylko! Zdusi mnie jak nie. Bandyta! Prawdziwy agresor. Muszę więc się obronić. Puść, durniu, bo cię całego połknę.

Lecz niedźwiedź zamiast odpowiedzi przyduł ją jeszcze silniej. Żmija zaczęła więc z innego tonu.

— Po cóż od razu działania wojenne? Czyż to konieczne? Lepiej od razu odciąć tę łapę co mnie dusi. Nie będzie ani dla mnie, ani dla ciebie. Czyż może być sprawiedliwsza propozycja?!

Niedźwiedź zdziwiony spojrział na żmiję.

— Ciekawe — powiedział z pogardą. Okazuje się, że ja jestem swoim własnym agresorem i jedynym wyjściem z sytuacji jest strata mojej łapy. Ciekawą macie logikę, szanowna pani. No, ale teraz wszystko jasne. Albo wyjmiesz zęby z mojej łapy i pójdziesz, gdzie pieprz rośnie, albo... pomyśl tylko, czym się to może dla ciebie skończyć!

Z ros. przeł. Eski

Janusz Księski



Bez słów

Ojciec i syn

Syna, który odmówił ojcu pomocy, wezwano do sądu.

— Jak wam nie wstyd! — powiedział sędzia. — Ojciec wychował was, karmił, a wy...

— Co prawda, to prawda — odpowiedział syn. — Ale ja byłem małeńki. Jadłem, jak ptaszeczek, a on...

W miejscu pracy syna wszyscy chwalili i szanowali. Nie wiedzieli, że jest on świnia, bo takiego pochodzenia nie przewiduje ankieta personalna.

Przełożył z białoruskiego
Fr. Swarzyca



— Wynoś się, mówię ci!!!

Traszkowski

„Płynna mowa”

Prezes podsumowuje plon dyskusji cały przy tym sączy z karafki (jak zwykły przy przemowach), lecz jaki rezultat te wywody dają?

— To co wypił, to wypocił... w słowach.

Refleksja

Byłaby w literaturze poważna afeta, Gdyby nie Degler Boya, lecz Boy naśladował Deglera.

Malarz - biurokrata

Jesteś biurokrata. — Nie przecz! To nie blaga. Ciągłe grzebięsz w aktach. — Tak! — To prawda

naga!

ADAM KOCHANOWSKI